Rok 1898. Lwów, dnia 13. czerwca. Nr. 23.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

Z OBCEGO PARNASU.

VILLANELA

(Z Leconte de Lisle'a).

Noc czarna, w czasie ciszy, pod równikiem.

Granice Czasu, Przestrzeni i Miary
Znikły z czarnego stropu firmamentu
W otchłani morza, nieruchomej szarej.

Całun milczenia, ciemności opary,
Noc wymazuje, wykreśla doszczętu
Granice Czasu, Przestrzeni i Miary.

Jak gruz zwaliska, niemy, ciężki, stary,
Duch w sennej próżni nurza się odmętu,
W otchłani morza, nieruchomej, szarej.

W nim i znim wszystko, tonie: marzeń czary,
Wspomnienia, sny, uczucia, zarysy okrętu,
Granice Czasu, Przestrzeni i Miary,
W otchłani morza, nieruchomej, szarej...

RONDELETTO MINIONYCH DNI

(Z Harancourt'a).

Jestem więc stary, bardzo stary,
Że tak za siebie zwracam oczy,
Że za modlitwą żal mnie tłoczy
I za miłością Bóstw w dniach wiary?

Przecz patrzę na spłowiały, szary
Szmat życia, co się w strzępy troczy?
Jestem więc stary, bardzo stary,
Że tak za siebie zwracam oczy?

Czyż lepiej było gonić mary
Po drodze szałów cień uroczy,
Nim zniknął czas, co w dal wciąż kroczy?..
— Dni martwych najpiękniejsze czary!
Jestem więc stary, bardzo stary...

Przełożył

ST. BRZOZOWSKI.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Ależ właśnie o to chodzi — zawołał syn — nieraz już o tem myślałem, że najstraszniejsza z chorób może się czołgać *incognito*, ponieważ nieprzyzwoitą jest rzeczą wymieniać jej nazwę! O, nie wiesz matko coś uczyniła!

— Co uczyniłam? Czyś ty oszalał, chłopcze? — zawołała pani Bennechen oburzona; nie mogła w żaden sposób pojąć tego, iż taki głupiec, jakim był Jan, przychodził tutaj niejako w charakterze sędziego.

— Adelajdo! — zawołał lękliwie minister z łóżka.

Jan mówił jednak spokojnie dalej, nabrawszy raz pewności, wskutek czego gniew jego prawie zniknął:

— Że chcieliście przeszkodzić temu, abym się z nią nie ożenił — pojmuję, i w tem może byłbym wam uległ. Ale że wydaliście ją na pastwę zniszczenia, oh, nie wiecie, co ona była warta i co cierpiała! Teraz umarła, a ja odjeżdżam dziś wieczorem. Bądźcie zdrowi!

— Dokąd? — zapytała matka.

— Do Ameryki — odparł doktor we drzwiach.

— Do Ameryki? Ależ to niemożliwe!... Danielu! — zawołała pani Bennechen.

— To rzecz bardzo poważna; uspokójmy się najpierw wszyscy... — rzekł minister.

Hilda, nawpół ubrana, wbiegła za bratem do przedpokoju; z swej sypialni słyszała prawie całą rozmowę.

— Janie, Janie — wołała — co to jest? Odjeżdżasz znowu?

— Tak, Hildo, i teraz odjeżdżam na zawsze, do Ameryki. To będzie przykrem dla ciebie biedaczko — dodał i uścisnął siostrę serdecznie.

— Ach, tak, tak... — łkała Hilda — nie mógłbyś mnie zabrać z sobą?

Rzekła to, nie myśląc o tem na serjo; Jan podchwycił to jednak natychmiast i gdy Hilda dodała, że nie otrzyma na to nigdy pozwolenia matki, odparł szorstko:

— Ależ odjedzie tylko dwoje nieudałych. Prócz tego, o pozwolenie pytać się nie będziemy. Chodź i pomagaj mi, dopóki nie znajdziesz czegoś lepszego.

— Nie, Janie, czy ty myślisz naprawdę?

— Dlaczegóżby nie? A zresztą, cóżby się stało z ciebie tutaj w domu? Za mąż zapewne nie wyjdziesz, wybacz mi najdroższa, a do pracy jesteś za... wysoką urodzoną; jesteś właśnie dobrą dla Ameryki.

Pani Bennechen wyszła tymczasem z sypialni.

— Patrzcie państwo, jeszcze nie pojechałeś Janie; to dobrze, bo mam z tobą pomówić.

— Hilda jedzie ze mną — rzekł Jan.

Pani Bennechen zrobiła wysilek, aby się roześmiać.

— No, to mnie cieszy, cała historja była zatem tylko żartem. Myślałam tak od samego początku.

— Nie, matko, to serjo... — odparł Jan sucho. — Hildo, idź do siebie i spakuj twoje rzeczy. Wieczorem udajemy się na pokład.

Hilda była zupełnie zmieszaną, ale rozkazujący ton tego zwykle nieśmiałego brata zaimponował jej do tego stopnia, że usłuchała i poszła.

— Słuchaj teraz, Janie — rzekła pani Bennechen i stanęła tuż przed nim — alboś szalony, alboś pijany! Czy sądzisz może, że ja albo ojciec pozwolimy na taki skandal?

— Przyjdę po Hildę dziś wieczorem, a gdy nie będzie gotowa do podróży, to możesz się, matko, przygotować na jeszcze większy skandal.

Zwrócił się do drzwi.

Pani Bennechen wydała okrzyk i padła na fotel.

— Ależ Janie! — zawołał minister, stojąc w grubym negliżu we drzwiach. — Pomóżże matce, widzisz przecie, że zemdlała!

— Nie zemdlała wcale... — odrzekł Jan.

Po tych słowach wyszedł.

XVII.

Ajent emigracyjny zacierał sobie ręce z radości, że pozyskał doktora; stał na bulwarze i bystrym wzrokiem śledził przybijający do brzegu okręt z zachodu; okręt zarzucił kotwicę przed parowcem angielskim.

Bystry jego wzrok, polujący zawsze i wszędzie na wychodźców, okrył natychmiast Njaedela i naczelnika pilotów; skoro tylko wstąpili na ląd, ajent natychmiast przyczepił się do nich.

— Wychodźcy, jak widzę... — rzekł, pozdrawiając ich.

Naczelnik pilotów odpowiedział na powitaninie; gdy jednak ajent chwycił za torbę, którą Seehus trzymał w ręku, nie mógł ten ostatni pozwolić na to, aby taki elegancki pan zajmował się jego rzeczami. Tymczasem ajent paplał nieustannie, wyprowadzając ich z tłumu, który się zebrał dokoła przybyłego okrętu. Njaedel szedł, na wszystko jednak patrzył z widoczną nieufnością.

— Patrzcie, tam stoi wasz okręt, *first class, altogether!* Macie bilety? — zapytał ajent.

— Nie odparł.

— *Very well;* bilety będą wydane na pokładzie. Proszę, wsiadajcie!

— O której godzinie odchodzi okręt? — zapytał teraz Njaedel.

— Jutro rano o świcie — rzekł ajent, i z prędkością, od której Njaedelowi aż się zakręciło w głowie, zaczął wyliczać zalety swego towarzystwa; co za szczęście, że właśnie jego spotkali, a jak to wygodnie, że natychmiast mogą się

udać na pokład i nie będą mieli potrzeby płacenia za nocleg na lądzie.

To ostatnie zachęciło obydwóch, to też udali się z ajentem na pokład, który w przeciągu kwadransa zajął dla nich koje drugiej klasy, postarał się o bilety, przyjął pieniądze, pokwitował i w rezultacie klasnął w dłonie:

— *All right, first class altogether!*

Gdy uż wszystko było w porządku, wyszli na ląd, Njaedel jednak szepnął do naczelnika:

— Żeby to tylko nie był jaki oszust, ten elegancki pan... Za wiele mi gadał.

Naczelnik uśmiechnął się i rzekł poważnie, że to po amerykańsku.

Teraz trzeba się było dowiedzieć coś o „sprawie“ a potem odnaleść Krystynę w szpitalu. Njaedel chciał się natychmiast udać do króla; naczelnik jednak wyśmiał się znowu z niego a swoją drogą, rozpoczął się wypytywać wszystkich przechodniów o drogę do ministerstwa.

Nie miał jednak szczęścia.

Większa część przechodniów śmiała się, inni odpowiadali żartem, trzeci stawali i gapili się na nich. Bo też była to niezwykła para: mały, czerwony naczelnik w żółtym kaftanie, i w futrzanej czapce, oraz pochylony olbrzym z dziką brodą i dziwnemi, jasnemi oczyma dziecka.

Sami zaczęli to odczuwać, gdy się dostali na górę do eleganckich ulic; naczelnik nie wypytywał się już tak odważnie, a gdy przyszli przed urząd pocztowy rzekł:

— No, już dziesiąta.

Stanęli i zaczęli się przypatrywać wieży na kościele Zbawiciela; w tem przesunął się obok nich jakiś wspaniały pan z papierami pod pachą.

Naczelnik wziął na odwagę i zapytał go:

— Przepraszam, czy nie byłbyś pan łaskaw powiedzieć nam, gdzie jest ministerstwo?

— Które ministerswo?

— A czyż to więcej jest jak jedno? — zapytał Seehus, tracąc odwagę.

— Ah, moi szanowni — odparł elegancki pan — jakżeż stara Norwegja mogłaby istnieć przy jednem tylko ministerstwie! Ale czegoż wy chcecie od ministerstwa?

— Spytać o sprawę... — rzekł Njaedel.

— To znaczy — objaśnił naczelnik — chodzi tu o łozinę na brzegu morskim i o wielki rów.

— Tak, wielkich rowów jest dosyć w każdem ministerstwie — rzekł dobroduszny pan — ale co do łoziny nadmorskiej, to z tem będzie trochę trudniej.

— Ma tam być minister... — oświadczył naczelnik.

— Ach, kochany ziomku, gdzież niema ministra! Mamy jedenastu tego gatunku!

Teraz poddał się naczelnik pilotów zupełnie i spojrzał bezradnie na Njaedela.

— Mój brat jest tam — rzekł Njaedel.

— Tak? A jakże się nazywa?

— Anders się nazywa, Anders Mo.,.

— Ah, Mo, znam go dobrze; to zatem wasz brat. Chodźcie ze mną, pójdziemy jedną drogą.

Elegancki pan poszedł naprzód, obydwaj szli za nim w oddaleniu kilku kroków.

— Ten mi się podoba — szepnął Njaedel — gdyż nie wstydzi się iść z nami.

— Ja mu jeszcze nie bardzo wierzę — odparł naczelnik pilotów ostrożnie.

— Przyprowadzam panu dwa prawdziwne zresztą okazy z wymarłego gatunku ludzi — rzekł Jerzy Delphin do kancelisty Mortensena, wszedłszy z Njaedelem i Seehusem do biura — a tutaj moi panowie — zwrócił się do obydwóch — mogę wam przedstawić prawdziwego, ludowego Mortensena.

Redaktor powstał uroczyście i zgiął się w kabłąk, chociaż nigdy nie czuł się zbyt pewnym, gdy szef biura zaczął żartować. W kilku górnolotnych frazesach wypowiedział swą radość z powodu, iż nareszcie, oko w oko staje z rdzeniem ludu, z szlachetnymi przedstawicielami włościaństwa norweskiego i tak dalej...

Ta mała komedja zwabiła Oersetha i innych panów z przyległych pokojów. Naczelnik pilotów stał i patrzył na bladą, tłustą twarz Mortensena, i coś, co długo się w nim gotowało, zaczęło się poruszać; zachowywał jednak spokój.

— Tych panów — rzekł szef biura, mając zamiar iść dalej — polecam szczególnej pańskiej troskliwości, panie Mortensen, a nie wątpię, że z radością uchwycisz pan sposobność dowiedzenia, że jesteś prawdziwym tego ludu... i tak dalej...

— Przepraszam pana, panie szefie — odparł Mortensen trochę gniewnie — ale dziś zdaje mi się nie ma czasu na żarty.

— Żarty, powiedział Mortensen? Żarty? Czy który z panów słyszał, że kancelista Mortensen powiedział „żarty“? Nie sądzę tego — ciągnął dalej Delphin z złośliwym uśmiechem, który dla jego nieprzyjaciół był prawdziwym postrachem — nie mogę sobie wyobrazić tej możliwości, aby kancelista Mortensen mógł mój rozkaz uważać za żart. Ci panowie pytają się o jakąś sprawę, tyczącą się łoziny nadmorskiej i jakiegoś wielkiego rowu. Sprawa ta ma się znajdować u nas. Czy kancelista Mortensen raczy natychmiast puścić się w ruch, wyszukać odnośne dokumenty i zdać tym panom sprawę?

Redaktorowi krew uderzyła do głowy; inni, spostrzegłszy, że komedja wzięła taki obrót, cofnęli się na swoje miejsca i każdy pochylił się nadbiurkiem.

Teraz jednak zabrał głos naczelników pilotów Seehus:

— Przepraszam, ale najchętniej rozmówilibyśmy się z samym ministrem; z tym tu jegomościem nie chcę mieć nic do czynienia.

— Pod tym względem zgadzam się z wami — rzekł szef biura i zaprowadził obydwóch włościan przez szereg pokojów wprost do gabinetu ministra. Prosił, aby zaczekali, gdyż ministra jeszcze nie było.

Prawie godzinę czekali na jego przyjście; minister był w ohydnym humorze. Z biegiem czasu jednak nauczył się minister wyglądać tem uprzejmiej, im w gorszym był humorze. Zresztą dziś udawało mu się to tylko z wielką trudnością; troski rozpoczęły się od samego rana, a były nadzwyczaj przykre.

Najpierw po nieszczęśliwej scenie z Janem miał długą i przykrą rozmowę z Adelajdą. Udało mu się wreszcie wyjaśnić energicznej kobiecie, że przymus i zamknięcie nie są skutecznymi środkami przeciwko skandalowi. Dlatego też postanowili wobec „nieudałych“ zachować dobrą minę a wobec ludzi przedstawiać rzecz tak, że Jan udaje się w podróż nau-

kową do Ameryki, a Hilda towarzyszy mu tylko dla swej własnej przyjemności.

— Ach, Boże, toż żadna dusza ludzka nie uwierzy, aby tak było w istocie... — skarżyła się pani Bennechen.

— To zależy od tego, jak to będziemy opowiadali — odparł mąż.

Gdy zaledwie z tem skończył, wsunął się referendarz Alfred z grobową miną. Był zmuszony — wystawił weksel, który dziś był płatny, i — i —

Minister się rozgniewał i zaczął kazanie; żona jego jednak wypchnęła Alfreda do przedpokoju i przyrzekła mu pomódz ze swej własnej kasy.

I wszystko to musiało się stać właśnie w dniu, w którym po długiej niebytności oczekiwano przybycia jego królewskiej mości, w chwili, w której zależało na tem, aby wjazd króla odbył się w sposób możliwie wspaniały i uroczysty.

Gdy zatem minister Bennechen wszedł do swego biura przez specjalne wejście, tylko z trudnością powstrzymał przekleństwo na widok tych dziwacznych postaci, które tam siedziały.

Naczelnik powstał natychmiast i zaczął wyjaśniać sprawę tak, jak się do tego przygotował, przyczem ku niekłamanemu zdziwieniu Njaedela tytułował ministra: „Jego Wysokość".

Minister patrzył na niego przez chwilę, otworzył potem drzwi do sekretarza ekspedycyjnego i zapytał:

— Co to za ludzie tutaj siedzą?

— Nie wiem, jak mi Bóg miły, panie ministrze, nie wiem tego wcale — odparł sekretarz, mały, chudy, siwy, człowieczek — to szef biura Delphin przyprowadził ich tutaj; naprawdę tak było; nie wiem o tem nic, zupełnie nic...

— To wygląda na pana — mruknął minister — poproś pan szefa, aby tutaj przyszedł.

— Natychmiast, natychmiast, panie ministrze, załatwię to w tej chwili.

Mały człowieczek zeskoczył z krzesła, przebiegł kilka razy przez pokój, szukając kapelusza, przypomniał sobie wreszcie, że nie ma potrzeby wychodzić przecież na ulicę i pobiegł w końcu przez drzwi, prowadzące do biura Delphina.

Minister przeszedł się kilka razy po pokoju; czekając na szefa biura; naczelnik pilotów zamilkł; wszystko to wydawało mu się trochę za dziwacznem.

Minister Bennechen sam po części był przyczyną tego, iż Delphin tak szybko piął się po stopniach karjery. W ostatnich czasach nabrał jednak trochę gorszego przekonania o szambelanie; minister postanowił sobie przy najbliższej sposobności poradzić mu, aby się podał o miejsce w jakiemś mniejszem miasteczku. Jednakowoż Jerzy Delphin był z swoim językiem, którego się powszechnie obawiano i z swymi dobrymi stosunkami, człowiekiem, z którym trzeba było postępować uprzejmie, a zwłaszcza wtedy, gdy skandal wisiał w powietrzu.

— Kochany szambelanie — zaczął też, ujrzawszy go wchodzącego — mam pana prosić o wielką przysługę. Widzi pan, najjaśniejszy pan, jak panu wiadomo, przyjeżdża o godzinie czwartej; większa część dostojników zgromadzi się wskutek tego u mnie na małem śniadanku *à la fourchette* jeszcze przed uroczystym wjazdem króla, spodziewam się naturalnie, że i pan, panie szambelanie raczysz zaszczycić mnie swoją obecnością...

Delphin skłonił się.

— Ale teraz przychodzi to, o co właściwie chciałem pana prosić, kochany Delphinie. A mianowicie, abyś pan zechciał pójść do mojej żony do domu i pomódz jej trochę przy urządzeniu; należy to przecież także do zakresu pańskiego talentu. Muszę panu bowiem powiedzieć, iż Adelajda była trochę zgryziona dziś rano, było tam trochę, rozmaitych niepotrzebnych rzeczy, hm... — minister starał się uśmiechnąć — jak pan zapewne słyszałeś, Jan już oddawna prawi o tem, że chce odbyć podróż do Ameryki?

Delphin był na tyle uprzejmym, iż skinął głową potakująco.

— Jestto jeden z jego bziczków — ciągnął dalej minister żartobliwie — a teraz właśnie nadarza mu się ku temu doskonała sposobność; jedzie jako lekarz na okręcie emigracyjnym, a Hilda towarzyszy mu dla swej własnej przyjemności.

— Panna Hilda! — zawołał Delphin i wypadł zupełnie z roli.

— Zapewne — zaśmiał się minister — myśl *non plus ultra*, wszak prawda? Adelajdzie nie podobało się to z początku zupełnie, ja powiedziałem jednak: „Bóg wie, niech jadą!" Podróż do Ameryki jest dzisiaj czysto podróżą dla przyjemności, a ponieważ prócz tego doktor Rohde sądzi, że powietrze morskie, hm!

Delphin mruknął kilka uprzejmych frazesów i minister był z siebie bardzo zadowolony. We drzwiach jednak szepnął poufale:

— Co to za dwaj bukolicy, których mi pan władowałeś na kark?

— To chłopi z zachodu, którzy się pytają o jakąś sprawę, znajdującą się rzekomo w naszem ministerstwie. Zająłem się nimi, gdyż Mortensen był trochę nieprzyzwoity. Nie wydawało mi się potrzebnem, podawać przyczynę...

— Zupełnie słusznie, kochany Delphinie! Zajmę się nimi. Mortensen, między nami mówiąc, jest trochę za rubaszny.

Gdy szef biura wyszedł, zwrócił się minister do obydwóch czekających i rzekł uprzejmie:

— Tak, widzicie, moi przyjaciele, teraz jestem zupełnie do waszej dyspozycji. Chodziło zatem...

— O łozinę nadmorską — rzekł naczelnik pilotów.

— O łozinę nadmorską... —minister zadzwonił — proszę was, siadajcie; załatwimy to zaraz — zadzwonił raz jeszcze — sprawa ta dopiero przed niedawnym czasem do nas przyszła?

—W jesieni będą dwa lata — rzekł Njaedel.

Minister skoczył, usłyszawszy ten potężny głos. Otworzył drzwi do przedpokoju i zawołał:

— Mo!

Andersa jednak nie było; minister podszedł do innych drzwi i przeraził prawie na śmierć sekretarza ekspedycyjnego, brzęcząc kluczami i pytając się o jakąś łozinę nadmorską.

Sekretarz ekspedycyjny, zwrócił się ku stosowi swych protokołów, ciągnął papiery i rzucał niemi, przerzucał tu i tam, aby znaleść tę przeklętą sprawę, która miała wejść do ministerstwa jeszcze przed dwoma laty!..

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z PIŚMIENNICTWA WŁOSKIEGO.

Tendencja włoskiej powieści. „Światek starożytny“ Antoniego Fogazzaro i „Dziewice Skał“ G. d'Annunzio. „Półbożek“ Hieromina Rovetty „Baron na Suchych Źródłach“ Ludwika Capuana.

Romans włoski wstępuje w ślady rozwoju życia politycznego i społecznego na półwyspie. W czasie długiego okresu przygotowawczego dla niezawisłości i jedności kraju, przenosił w dziedzinę sztuki chlubne lub bolesne chwile narodu, był więc historycznym i pozostał nim w epoce rewolucyjnej. Później, w chwili dźwigania się, w świadomości spójni sił sił narodowych, powieść zwróciła się w kierunku francuzkiego romansu, czy to naturalistycznego, czy sentymentalnego lub psychologicznego, stosownie do wiatru, jaki wiał z za Alp, — zerwała więc z podaniami narodowemi i niejednokrotnie karmiła się naśladownictwem.

Takim też romans włoski pozostał do dziś dnia, choć w ostatnich czasach zbudziły się nowe tendencje, dążące niejako do wyłamania się z pod obcych wpływów. Znać to po dwóch powieściach: Antoniego Fogazzaro i Gabrjela d'Annunzio, choć obaj autorowie różnią się całkowicie temperamentem i metodą artystyczną. Oba utwory wyszły jednocześnie, oba potrącają o wypadki i życie polityczne rewolucyi włoskiej w formie, która nie należy ani do naturalizmu francuzkiego, ani do sentymentalizmu niemieckiego, ale zato może nazwać się specjalnie włoską. Fogazzaro, aby zachować włoskość swojej sztuki i nawiązać ją do tradycyj Manzoniego, odmalował w „Światku starożytnym“ epokę przed r. 1859, taką, jaką była we Włoszech północnych, z uczuciami i namiętnościami chwili wysoce historycznej dla Włoch. Co więcej, przejął nawet metodę artystyczną swego wielkiego poprzednika: zachowanie djalektu, wyrażenia gminne. Nadewszystko jednak wybór miejsca i chwili, światka pozornie spokojnego, żyjącego w Lombardji przed r. 1859, zobrazowanie uczuć, poprzedzających rewolucję, wszystko to są rzeczy, nadające charakter wyraźnej włoskości w formie artystycznej. Fogazzaro jest jednym z najwybitniejszych pisarzy na niwie włoskiej literatury, tem popularniejszy, że w powieściach swych maluje przejścia, których żywe wspomnienie zachowało się dotychczas.

Inaczej przedstawia się, pod względem artystycznym, ostatni romans d'Annunzia: „Dziewice skał“. Wyposażony we wspaniały styl i język, pełen barw i dźwięków, którego mamy próby w poprzednich utworach, d'Annunzio uczuł w ostatnich czasach potrzebę odnowienia swojej twórczości, stworzenia czegoś całkiem oryginalnego, wolnego od naśladownictwa. Zachowawszy typ romansu psychologicznego, zamierzył nadać mu charakter ***di pura italianità.*** Począwszy od nazwisk, pejzażów, tła historycznego. wszystko tu jest włoskiem. Sam bohater romansu, opuszczczający prozaiczny, zbezczeszczony przez aferzystów Rzym nowożytny, wracający do samotnego zamku sycylijskiego, szukający serca, — przypomina nawet rycerza z średniowiecznych puowansalskich romansów Rosy, należących do świata literatury łacińskiej. Jak „Światek starożytny“ obraca się około przygotowań do wojny 1859 r., tak „Dziewice Skał“ nawiązują opowiadanie do wypadków rewolucji z r. 1860 w Neapolu, okazują nam stary, strupieszały światek burboński, wobec nowego pokolenia, nowych potrzeb i aspiracyj. Ani tu, ani tam nie masz nic francuzkiego, nic kosmopolitycznego, coby się dało przenieść pod inne niebo; postacie są rzeczywiście włoskie, swojskie i to niesłychanie podnosi wartość obu powieści. Antoni Fogazzaro i Gabrjel d'Annunzio, autorowie „Światka starożytnego“ i „Dziewic Skał“, uchodzić z tego względu mogą za odnowicieli powieści włoskiej i równą oddają usługę literaturze włoskiej, choć zagranicą nie jednakowym cieszą się rozgłosem.

Inaczej wygląda ostatnia powieść „Półbożek“ Hieronima Rovetty, medjolańczyka, jak Fogazzaro. Rovetta jest satyrykiem, krytykiem życia społecznego swego narodu. Jego „Łzy bliźniego“ sprawiły w swoim czasie wiele wrzawy, gdyż Włochy poznały w postaciach bohaterów powieści, tak jak w „Baraonda“ rozmaite figury, zbyt głośne w epoce oszustw bankowych, podejrzanych spekulacyj, karjer zagadkowych, które splamiły, skompromitowały nowe Włochy.

„Półbożek“ H. Rovetty („L'Idollo“ Medjolan, 1898) piętnuje fałszywe życie literackie włoskie. Autor „Trylogji Doryny“, „Nieuczciwych“, „Rzeczywistości“ (La realta), — bo Rovetta jest też dramagurgiem — jest satyrykiem, ściga śmieszność, znajduje ją w życiu i pokazuje nam ją z wielkiem bogactwem szczegółów. Powieść ta, nieznaną u nas, więc choć pokrótce jej treść opowiem.

Jordan Mari bohater powieści, jest to specjalista od odczytów: ma piękną postawę, ładny głos, podoba się, zdobywa sympatję u mężczyzn, a miłość u kobiet. Przemawiając z katedry, rzucając zdobywczy wzrok ku tłumowi słuchaczy, olśniewa ich jednym szczęśliwym tematem: „Poprzednicy rewolucji francuzkiej“, odczytanym w klubie artystyczno-literackim w Medjolanie. Człowiek, który tak dobrze mówi, jest komedjantem, broni on swej drobnej sławy, uprawia ją z chciwością przemysłowca bez skrupułów. Łatwy w pożyciu, serdeczny z wszystkimi, pozuje zawsze; spotyka się z młodym budowniczym, Karolem Borghettim, bogatym, wykształconym, pełnym zdolności. Ten ostatni studjował słynny kościół św. Ambrożego w Medjolanie, kocha się w kuzynce swojej Emmie Djonisy i — przybywa z oświadczynami zapóźno, bo kuzynka oddaje już rękę Maremu. Mari pozyskuje jej miłość, otrzymuje nawet z rąk Borghetego rękopis studjów nad św. Ambrożym; Emma zakochana jest zrazu w swoim mężu; dopiero po ślubie ideał zaczyna g a s n ą ć w oczach olśnionej panienki. Człowiek ten w życiu codziennem jest pospolitym: objeżdża rozmaite miasta włoskie zawsze z jednymi i tymi samymi „Poprzednikami francuskiej rewolucji“, których umie już na pamięć; samolub, często staje się gburowatym i złym dla żony... Wścieka się, kiedy go dzienniki krytykują, chciałby, aby żona bardziej kokietowała ministrów... Katastrofa zbliża się, kiedy żona spostrzega, iż dzieło o kościele św. Ambrożego jest pracą jej kuzyna. Wreszcie, aby zapłacić długi, Mari zastawia

jej listy miłosne u lichwiarza. Nawet jego białe zęby są fałszywe, a listy, jakie do niej pisywał, kiedy był narzeczonym, kopjowane były z gorących listów Hugona Foscolo! Wtedy serce Emmy buntuje się. Katastrofa zastała Marego nieprzygotowanym, nie zdającym sobie rachunku z podłości postępków, zbyt zapatrzonym we własną wielkość; zadziwia go, ale nie boli. Marzył o bycie wygodnym, łatwem życiu, taniej sławie, teraz całe to rusztowanie się wali!.. o! jakżeby chętnie w łeb sobie strzelił, gdyby miał odwagę do tego!..

Około tej postaci, wspaniałej w swej nicości i płaskości, obracają się inne, na które Rovetta pełnemi rękami rzucił promień trafnej obserwacji: kobiety łatwe i kapryśne, eleganccy literaci, dziennikarze, deputowani i t. d.

Romans ma jeszcze tę oryginalność, że Rovetta porzucił zwyczajną formę djalogu i wprowadził dramatyczną. Autor podaje zawsze nazwiska mówiących i przytacza ruchy, poruszenia. O ile wiem, on pierwszy we Włoszech zastosował tę formę, którą Gyp w Paryżu wprowadziła.

Na zakończenie wspomnę o małym, bardzo artystycznym obrazku, nowelce sycylijskiego autora, Ludwika Capuana, p. t. „Baron na Suchych Źródłach“ *(„Il Barone di Fontane Asciutte“)*. Baronem tym jest Don Paolo Zingali, procesujący się z kuzynem swoim od lat trzydziestu o baronję Suchych Źródeł. Capuana jest mistrzem w malowaniu z natury rodzajowych obrazów sycylijskich, spółczesnych plag, które toczą zaniedbaną wyspę, niedosyć jeszcze znaną Europie.

W małem sycylijskiem miasteczku Zingalowie posiadają stary, obszarpany pałac; baronowa i jej córki modlą się, odmawiają różaniec, synowie nic nie robią, ojciec, pokłóciwszy się z rodziną, dziwak, wyniósł się do Katonji, aby prowadzić proces. Trzeba przeczytać w nowelce opisy mieszkań, sceny rodzinne, familijne, wrzaski, krzyki, aby poznać życie sycylijskie. Jedna z córek barona znalazła pewnego razu starą, zniszczoną książkę p. t. „Sposób na wywołanie we własnym pokoju postaci ukochanego“, — zapaliła gromnicę, ale nikt się nie ukazał; spowiada się z tego zaraz przed przyjacielem domu, kanonikiem, i chce wstąpić do zakonu. List dumnej Rosarji zastsje ojca w Katanji, gdzie lada dzień proces ma być rozstrzygniętym. Zgnębiony ubogiem życiem, nędzą, mieszkając w wilgotnej dziurze, baron śledzi przebieg procesu, i w chwili, kiedy go wygrywa, stary dziwak umiera na słomie u własnego chłopa.

Capuana jest werystą, jak Jan Verga, jego sycylijski kolega. „Królestwo wieszczek“ miało wielkie powodzenie we Włoszech, ale specjalnością nowelisty są właśnie te żywe obrazki z życia sycylijskiego, zwykle pełne ironji, a nawet goryczy.

Weryha.

ADAM KRAJEWSKI.

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Nie odpychała go teraz od siebie, owszem wyzywała spojrzeniami, które pozwalały mu się domyślać, że nie byłaby mu obojętną, gdyby...

A gdyby tak?... Awanturnicza myśl strzeliła mu do głowy. Gdyby spróbował rozkochać tę pannę? — Jakkolwiek myśl ta wydała mu się szaloną, jakkolwiek niemiał czasu zdać sobie sprawy z tego dziwnego podszeptu, to jednak parła mu się uporczywie do głowy — a oczy Malwiny tak zachęcająco nań patrzały. Ha! — niech się stanie co chce! — Spróbuje.

— Coby pani na to powiedziała — szepnął, spuszczając oczy z obawy, ażeby nie stracić odwagi wobec spojrzeń Malwiny — gdybym się przyznał, że ciekawość zobaczenia ciebie, pani, tu mnie sprowadziła...

— Wierzę temu — odparła najspokojniej w świecie, tak spokojnie, że Albin podniósł oczy i spojrzał na nią zdziwiony. Był pewny, że na tego rodzaju wyznanie, dumna kokieta zaśmieje mu się w oczy i da mu taką naukę, która mu odbierze na zawsze chęć wyzywania wśród tak dziwnych warunków. Tymczasem stało się inaczej. Malwina uważała widocznie przyjście Albina za rzecz najnaturalniejszą; nie dziwiła się temu, że przyszedł bez żony, a nawet była dla niego właśnie dlatego wylaną i serdeczną, że nie było przy nim tej kobiety, Niny, której nie znając, nienawidziła z całej duszy. Jeżeli Albinem kierowała dziwna chętka zemsty i upokorzenia Malwiny, o ileż dla niej było teraz łatwiej zemścić się na Ninie, rozkochawszy jej męża. Było to szczególnego rodzaju wyzwanie, walka na uczucia, którą sobie wydali, przy równych a jednak tak nierównych szansach. Oboje byli teraz pewni wygranej.

— I nie śmieje się pani ze mnie? — zapytał śmielej i nie spuszczając już oczu.

— A dlaczegożbym się śmiać miała? — odparła — spodziewałam się, że pan przyjdziesz — dodała z zupełną pewnością siebie.

To co mu odpowiedziała, było tak prawdziwem, że nie mógł przeciw temu protestować. Sam przecież wiedział, że tylko poto tu przyszedł, ażeby ją zobaczyć. Prawda, że nie pragnął z nią mówić, że gdy wszedł tutaj, nie miał na myśli tego jeszcze, co mu się teraz uporczywie do mózgu uczepiło. Chciał ją zobaczyć; był pewny, że mu to ulży w jego cierpieniu moralnem, — i pójdzie do domu. Tymczasem cała sprawa niespodziewany dla niego wzięła obrót. Był teraz, sam przy-

najmniej, najmocniej przekonany, że się dziewczyna skłania ku niemu; pochlebiało mu to wielce, że jedynie dla niego nie tańczyła, że zależy jej na tem, ażeby był przy niej, i pieścił już naprzód w duszy słodkie obrazy, roił marzenia, wśród których jego ukochana Nina zeszła gdzieś na drugi plan. Wśród chaosu wrażeń, jakie przechodził, siedząc przy boku Malwiny i czując jej palące na sobie spojrzenia, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim działo; wśród tych wrażeń, nie było miejsca na wyrzut, jak krzywdził tę, która sama jedna w domu została na tyle godzin. Jak pijak trunkiem, upajał się pożądliwością tego, o co się tylu przed nim, a i on sam dawniej, daremnie ubiegał. A Malwina porzuciwszy ton szyderski, którym pierwotnie do niego przemawiała, nie pozwalała mu oprzytomnieć.

Czas leciał szybko i Albin wśród rozmowy z Malwiną, która go zupełnie opanowała, ani się spostrzegł, że na sali poczęło się przerzedzać. Ciotka, która zmęczona obojętnie siedziała dotąd, zwróciła się ku siostrzenicy, dając tem samem znak, że czas odejść do domu. Spojrzała jakoś kwaśno na Albina; ale jemu było teraz tak wszystko jedno, że nie robił sobie nic z tego, gdy jakie ciekawe oko opuszczających salę na nim znacząco spoczęło. Opanowała go jakaś dziwna rezygnacja, z poza której nic nie widział, prócz utkwionych w niego czarnych oczu Malwiny, nic nie słyszał prócz dźwięcznego jej głosu, który mu się niebiańską muzyką wydawał. Dla niego, oszołomionego szczęściem i nadzieją, — czegoś, o czem sam jeszcze nie wiedział, nie istniało teraz nic.

Odprowadzając obie panie do powozu, uczuł serdeczny uścisk dłoni Malwiny w swojej dłoni, i — może mu się zdawało — kiedy wsiadała, jej karminowe usteczka zwrócone ku niemu, tak jakoś się złożyły, jakby mu chciały przesłać pocałunek. Gest ten wprawił go w rozkoszne drzenie, które czuł jeszcze, gdy powóz turkocząc, zniknął na zakręcie najbliższej przecznicy, goniony wzrokiem i myślami przez Albina, pozostającego jeszcze pod odurzającem wrażeniem pożegnania.

Stał jeszcze chwilę, aż dojmujący chłód wrócił mu przytomność i przypomniał rzeczywistość. Miasto ruszało się już z uspienia; tu i ówdzie otwierano szynkownie i sklepiki i Albin z pewnym niepokojem spostrzegł, że już rano. Po raz pierwszy od wielu miesięcy, zdarzyło mu się o tej porze samemu wracać do domu i gdy przeszło upojenie myślami o Malwinie, wyrzut tego pierwszego sprzeniewierzenia się żonie, odezwał się z całą siłą w jego sercu. Gdy sobie zdał sprawę ze swego dzisiejszego lekkomyślnego postępku, zawstydził się sam przed sobą i gorąco mu się nagle zrobiło mimo mrozu na dworze. Doznał takiego uczucia niepokoju, jak zbrodniarz w chwilę po spełnieniu zbrodni, spodziewający się lada moment ukazania się karzącej ręki sprawiedliwości. Byłoto już niestety po niewczasie i co się stało, nie mogło się odstać. Myśleć teraz począł jedynie o tem, jak skłamać przed Niną, przed którą się wstydzić musiał, jak wytłumaczyć całonocną nieobecność swoją, czem ją upozorować, przynajmniej na razie. Nieprzypuszczał bowiem, aby wielojęzyczny świat plotkarski nie postarał się o to, ażeby powiadomić żonę o tem, co się na balu działo. Znał ten świat, w którym się obracał, jeżeli nie ze wszystkiem, to po tym względem bardzo dobrze. Jakkolwiek miał spory kawał do domu, nie wsiadał do fjakrów, które mu się po drodze nastręczały. Wolał iść pieszo choć dłużej. Co mu tam teraz zależało na kwadransie lub półgodzinie; teraz właśnie pragnął odwlec jak najdalej tę nieprzyjemną chwilę, w której stanie przed Niną, jak winowajca, potwierdzający niestety te domysły, które mu zatruły tak błogie chwile cichego szczęścia małżeńskiego. Jeżeli jeszcze wczoraj, dziś w nocy jeszcze, wyrzucał żonie jej posądzenia, jej dla niego chwilową obojętność, to czyż po tem, co uczynił, nie on był bardziej winnym od niej, on, który niebacznie zrywał te słodkie okowy, jakie go przy żonie trzymały?

Gdyby to się dało jeszcze naprawić, gdyby to wszystko zniknęło gdzieś w mgle niepamięci; coby on dał zato... A równocześnie szatan, uosobiony w postaci Malwiny. przedstawiał mu ponętnie rozkosze zakazanego raju, po które, jak sądził dzisiejszej nocy, dłoń wyciągnąć należało. I tak walczyły w Albinie te dwa sprzeczne uczucia: miłości dla żony i pożądliwości dla Malwiny, jak szatan z aniołem, jak Ormuzd z Ahrymanem.

Tak idąc wolno, stanął przed domem. Spojrzał ku oknom; było w nich ciemno, snać służba jeszcze we śnie była pogrążoną. To go zresztą nie wiele obchodziło, rad byłby nawet, gdyby go nikt wchodzącego o tej porze nie spotkał; wstyd byłoby mu przed własnymi sługami, że on, taki porządny pan domu a niedawno ożeniony, wraca do siebie nad ranem. Sam nie wiedział, skąd się w nim wzięły skrupuły wobec służby, ale czuł to, że oziębły nieco stosunek, jaki od niewielu dni zapanował między nim a Niną, nie uszedł baczności domowników i to go gniewało i wstydziło.

Ujął za klamkę od bramy, była owartą i to go nieco uradowało, bo uniknąć mógł tym sposobem pierwszego spotkania z cerberem domowym.

Wchodząc raz jeszcze spojrzał w okna i zdawało mu się, że w sypialni żony przez firanki przebłyskało światło. Czyżby jeszcze nie spała, czy też się już obudziła? To drugie nie wydało mu się prawdopodobnem, a więc może czuwała jeszcze. Na tę myśl zasępiło się czoło Albina. Uważał się za bardzo niegodnego przestąpienia progów domowych z całym ogromem winy, jaka na nim ciężyła. Tak jest, czuł się winnym i bardzo, jeżeli bowiem Nina do tej pory nie spała, a więc czekała na niego, a w takim razie nie była dlań obojętną. Ta myśl, że popełnił lekkomyślność, ta nieopatrzność jego, jakiej tej nieszczęsnej nocy dał dowody, ciężyła mu na sercu kamieniem, niby ołów przygniatała mózg jego. Niewiedzieć dlaczego, uczuł się bardzo nieszczęśliwym i idąc po schodach na górę, co kilka stopni przystawał, aby odetchnąć i zaczerpnąć odwagi, której mu teraz bardzo brakowało.

Doszedł nareszcie. Z bijącem sercem pocisnął za guzik od dzwonka i gdy mu służąca otworzyła, poszedł do swego pokoju cichutko, jak złodziej skradający się po cudze mienie.

Położywszy kapelusz i zdjąwszy futro, stanął przed biurkiem, myśląc bezradny, co mu dalej czynić wypadało. Na dworze tymczasem rozwidniało się czemraz bardziej i szary promyk światła padał na łóżko, nad którem wykonany kredką wisiał portret jego ukochanej żony, Niny. Wzrok jego idąc za wciskającym się przez firankę promieniem dziennego światła spoczął na tym obrazie, wywołując w jego duszy wspomnienie tej kobiety, którą tak kochał, a którą poczynał zdradzać nocy dzisiejszej. Patrzył na te piękne rysy, na tę anielską twarzyczkę, nie mającą w sobie nic z tych kuszących powabów Malwiny...

Czy ta Malwina nigdy mu już z głowy nie wyjdzie? Miotany obawą o żonę, starał się o niej nie myśleć; dlaczego uparcie na myśl mu powraca? Dlaczego obraz tej czarodziejki staje mu właśnie przed oczyma teraz, gdy wszystkie uczucia chciałby skierować ku tej, którą tak skrzywdził mimo jej wiedzy i mimo poniekąd własnej woli? Byłożby to istotnie wynikiem istotnego uczucia, wynikiem rodzącej się namiętności czy też tylko dalszym ciągiem wrażeń ubiegłej nocy, z których nie może się jeszcze otrząsnąć? O ile zdolny był sobie zdawać sprawę z tego chaosu myśli, rozsadzających mu głowę, zdawało mu się że jest jakoby pijak, usiłujący się całą siłą woli

wytrzeźwić, a któremu nadmiar wypitego alkoholu, krępuje tę wolę i nie pozwala przyjść do przytomności. Mimo wszystkiego, czul jeszcze na sobie palące spojrzenia Malwiny, czuł ciepły uścisk jej dłoni i w oczach mu stanął ten gest, jaki mu rzuciła na pożegnanie. Będąc pewnym chłodnego przywitania Niny, jeżeli nie jej dąsów, nie próbował się spieszyć do sypialni żony o tej porze.

— A może — pomyślał — jeżeli spała lub spi, może się uda w nią wmówić, że dawno już jest w domu. Nie przyszło mu na myśl, że łatwo może wywiadując się u służby, złapać go na kłamstwie. Mniejsza z tem jednak; dość że zyska na czasie a co potem... ha!... to potem.

Uczepiwszy się tej myśli, rzucił się na rozebrane łóżko i puścił wolny bieg myślom. Zasnąć nie próbował nawet wśród tych warunków, wiedział dobrze że mu się to nie uda. Choć był piekielnie zmęczony i bezsenną nocą i dusznemi katuszami i niepokojem, jaki przechodził, sen nie kleił mu powiek.

Tymczasem dzień zajaśniał w całej pełni. Nadchodził czas, w którym musiał się żonie pokazać. Zrezygnowany na wszystko, uspokojony nieco, przewdział się w strój codzienny, nie dzwoniąc nawet na służącę, dla niezwracania uwagi, poprawił włosy przy zwierciedle i poszedł do pokoju żony.

Drzwi były jeszcze zamknięte. Drżącą ręką uchylił je i wszedł do pokoju. Zwykle gdy rano przychodził Ninie powiedzieć „dzień dobry" zastawał ją jeszcze w łóżku. Dziś całkiem odmienny mu się widok przedstawił. Na krzesełku pod oknem siedziała Nina z głową wspartą na dłoni, ubrana tak, jak ją odchodząc wieczorem zostawił. Stanął nieśmiejąc się zbliżyć, a tymczasem wzrok jego padł na łóżko, świeże, jakby się nikt jeszcze na niem do snu nie układał.

A więc nie kładła się wcale? biedna — powiedział sobie Albin w duchu i postąpił krok naprzód ku Ninie.

W tej chwili żona zwróciła ku niemu swą twarzyczkę i uprzedzając jego odezwanie się, zapytała spokojnie:

— Jak się masz? Już wstałeś? Wróciłeś dawno?

Nie umiał skłamać, spostrzegłszy oczy Niny zaczerwienione. Niech się dzieje co chce, nie skłamie.

— Niedawno — odparł — i niepodnosząc oczu ujął jej główkę w dłonie i pocałował ją w czoło.

— Zmęczonyś biedaku — szepnęła z czułością i pogłaskała go po twarzy, patrząc mu w oczy, jakby rada była że jest nareszcie przy niej.

Zawiele było już wzruszeń dla Albina. Nie marzył nawet o tem, ażeby go żona tak łaskawie przyjęła. Spodziewał się dąsów, sceny małżeńskiej, Bóg wie czego! Nie tłumacząc się nic, nie wyjaśniając niczego, ukląkł przy niej i złożywszy głowę na kolanach Niny, całował milcząco jej ręce, jakby chciał ją przeprosić za wszystko: i za to o czem nie wiedziała, i za jej dobroć bez granic. Ona nie broniła się tym pieszczotom, nie pytała go o nic, głaskała jego włosy, jakby odganiając myśli, któremi głowa jego była przepełnioną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości artystyczne i literackie.

Rocznica Mickiewiczowska odbiła się głośnem echem w Czechach, gdzie obecnie święcić będą setne urodziny wielkiego historyka i odrodziciela Czech: Fr. Polacky'ego. W tygodniku ilustrowanym „Zlata Praha" znajdujemy doskonale napisany artykuł, pióra p. Krapila oraz portret naszego wieszcza. Nawet lipska „Illustr. Ztg". zdobyła się na dłuższy, dobrze napisany artykuł o Mickiewiczu, który zaopatrzyła portretem.

Nowela Henryka Sienkiewicza pt. „Wyrok Zeusa" ukazała się w „Reoue des Revues" w przekładzie francuskim.

W „Biblioteque uniwerselle", wychodzącej w Londynie znajdujemy ocenę dzieła prof. Kallenbacha: „O Mickiewiczu", pióra syna wieszcza p. Władysława Mickiewicza.

P. Alfred Jensen ogłosił przekład „Pana Tadeusza" w języku szwedzkim. Książka wyszła u Bonniera w Sztokholmie. Przekład jest wierny. Dzieło zdobi portret wieszcza Adama według oryginału Horowitza.

Sardou pisze nową sztukę, której bohaterem będzie Robespierre.

W piśmie „Le Soleil du Midi" publikuje p. Verany dokumenty, odnalezione przez siebie w księgach parafialnych Marsylji, odnoszące się do śmierci Węgierskiego, która nastąpiła na południu Francji 11. kwietnia 1787 r. Poetę pochowano na cmentarzu „Sainte Marie de Majeur". Z grobu Węgierskiego nie pozostało obecnie ani śladu.

Mickiewicza Bajki i powiastki w miniaturowem wydaniu wyszły świeżo w Warszawie, nakładem drukarni W. Dumma. Ta osobliwość typograficzna, ozdobiona portretem autora, drukowana jest drobniutkiemi czcionkami i liczy na wysokość 31 mm., na szerokość 22 mm.

O utalentowanym autorze „Komedjantki", „Fermentów" i „Ziemi obiecanej"; Władysławie L. Rejmoncie zamieścił sympatyczny artykuł St. hr. Rzewuski w paryskim „Evenement". St. hr. Rzewuski zalicza Rejmonta do najzdolniejszych przedstawicieli współczesnej polskiej beletrystyki.

„Boheme" Pucciniego wystawioną została w połowie bieżącego miesiąca w paryskiej operze komicznej.

Nagrodę Toirac (4.000 fr,) przyznała paryska Akademja Juljuszowi Case za dramat pt. „La Vassale".

Treść: *Z obcego Parnasu* (Poezje); Aleksander Kielland — ***Pod sztandarem pracy*** (Powieść — c. d.); Weryha — ***Z piśmiennictwa włoskiego***; Adam Krajewski — ***Amor vixit*** (Nowela — c. d.); ***Wiadomości artystyczne i literackie.***